Nr. 38. We Lwowie dnia 23. września 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Królewicz Marko.

PIEŚŃ I.

Jedna otchłań — czarny las głęboki,
Druga otchłań — sina głębia morza,
A największa głębia — otchłań trzecia,
Niezgłębiona otchłań — dusza ludu.
Dajcie czarę miodu złocistego,
Dajcie czarę wina czerwonego!
Pieśń wam śpiewam nie o czarnym lesie,
Pieśń wam śpiewam nie o morzu sinem,
Ale śpiewam wam o duszy ludu,
Chrześcijańskiego serbskiego narodu
I o bojach na Kosowem polu
I o sławnym królewiczu Marku;
Dobrym ludziom śpiewam na słuchanie,
Na słuchanie śpiewam, na uciechę.

Ej, ty sławny królewiczu Marku,
Królewiczu Marku, bohaterze!
Klątwa na cię upadła podwójna:
Jedna klątwa — despoty Urosza,
Druga klątwa króla Wukaszyna,
Twego, Marku, ojca rodzonego!

Gdy o carstwo króle się wadzili,
Despota Urosz i ów król Wukaszyn
Zawezwali Marka królewicza,
By wyczytał im z ksiąg carostawnych,
Komu carski zająć tron wypada.
I przysądził Marko sprawiedliwie,
Jak mówiły księgi carostawne,
Nie przysądził to Wukaszynowi,
Lecz przysądził carstwo Uroszowi.
I rzucili nań klątwę podwójną;
Jedna klątwa — Urosza despoty,
Żeby Marko sławny był na wieki,
Żeby lud go w pieśniach błogosławił,
Póki stanie słońca i miesiąca!
Druga klątwa króla Wukaszyna,
Markowego ojca rodzonego,
Aby nie miał grobu ni potomka
I był sługą turka-bisurmana!

Jak zaklęli obaj — tak się stało:
Bowiem Marko sławny był na wieki
I był sługą turka-bisurmana.

Lecz choć Marko sądził sprawiedliwie,
Jak mówiły księgi carostawne,
Dalej króle wadzą się ze sobą,
Za królami wadzą się żupany,
Za panami wielkie własteliny,
A za niemi drobni własteliczę,
A nie pomni nikt o prostym ludu
O tych sebrach albo-li nerobsach,
Nikt nie pomni o ludu wieśniaczym,
Że on płacze w żupanów niewoli,
Choć jest serbskiej krwi i pokolenia!

Tak to króle wadzą się ze sobą,
I Wukaszyn dybie na Urosza,
I zdradziecko prosi go w gościnę,
I zdradziecko w lesie go zabija!
Tedy carem został król Wukaszyn,
A gdy carem został król Wukaszyn,
Pisze turek: Chodź-no, Wukaszynie,
Chodź-no w boju ze mną się spróbować!
Więc on poszedł na boje z turkami.
Nad Maricą, nad rzeką skrwawioną,
Jako Bóg chciał i dola junacka,
Król Wukaszyn turków bił zażarcie.
Zbił stu agów i baszów dziewięciu,
Z nimi wojska dwanaście tysięcy,
Lecz dziesiąty basza krzywą szablą
Głowę zrąbał z pleców Wukaszyna,
Dusza ogniem zeń jasnym wybiegła.
Tak padł w boju serbski król Wukaszyn
I królestwo jego Nowy Pazar
Ze stolicą swą białym Prylibem
Poddało się turkom-bisurmanom,
Otworzyło im do Serbji wrota.
Tak się zbyła klątwa Wukaszyna:
Służył Marko turkom bisurmanom.

(C. d. n.). *Ange.*

Dr. Wojciech Dzieduszycki.

O wiedzy ludzkiej.

Lwów. 1895 r.

Różnorodność literackich prac dr. Wojciecha Dzieduszyckiego jest zaprawdę zdumiewająca. Niemasz, zdaje się, takiego działu piśmienniczego, w którymby się nie znalazł jakiś, mniej lub więcej wyraźny, ślad jego czynności. Poezja, powieść, historja, estetyka, pedagogja, filozofja, publicystyka równe mają prawa do jego imienia, gdyż we wszystkich tych zakresach wiedzy i twórczości ludzkiej występuje on z jednaką pewnością siebie, gotów będąc w tej samej chwili przerzucić się od jednego kierunku myślenia do wręcz mu przeciwnego. Zastanawiając się nad tą różnostronnością jego działalności i rzutkością umysłu, mimowoli nastręcza się pytanie: czy rzeczywiście towarzyszy im wszechstronność wiedzy, opartej na samodzielnych badaniach, głębokość myślenia, zdającego sobie dokładnie sprawę ze swych wywodów i twierdzeń, twórczość wyobraźni, umiejącej uczuciom ludzkim i zdarzeniom codziennego życia nadać cechy idealne, nie zmieniając ich natury? Nie mogę dać stanowczej odpowiedzi na to pytanie. Potrzebaby bowiem wprzód rozpatrzyć się we wszystkich dziełach hr. Dzieduszyckiego, a na to nie mam dość czasu, powtarzać zaś na wiarę, co się o nich słyszało lub czytało, nie uważam za właściwe. Nadmienię tylko, że żadnemu śmiertelnikowi nie jest dano być doskonałym we wszyst kiem, że każdy, mając właściwe sobie usposobienia, stanowiące jego indywidualność, ma też odpowiednie im zdolności i czem większą kto odznacza się indywidualnością, tem jednostronniejszym bywa w swych uzdolnieniach. Typem takiej jednostronności bywa zazwyczaj genjusz. Jakoż ludzie, do wszystkiego zdolni, bywają powszechnie nijacy pod względem charakteru i w swych czynnościach nie umieją wznieść się ponad mierność codzienną. Nie przeczę, że mogą być pod tym względem wyjątki. Te atoli reguły nie stanowią tembardziej, że są bardzo rzadkie, a możnaby jeszcze szeroko rozprawiać o tem, czy bywają wogóle.

Jeżeli się nie mylę, to dr. W. Dzieduszycki oddaje się z największem zamiłowaniem filozofji. Czy w istocie to jego zamiłowanie odpowiada jego zdolnościom? Czy posiada on przymioty umysłu, będące niezbędnym warunkiem skuteczności prac, podejmowanych na polu filozofji? Czy ma on przedewszystkiem umysł, wolny od uprzedzeń, wolę, którąby umiała oprzeć się wpływom otoczenia, i to zamiłowanie prawdy dla samej tylko prawdy, jakiem odznaczali się zawsze prawdziwi filozofowie, którzy w wygłaszaniu swych przekonań nie kierowali się nigdy obcymi prawdzie względami? Czy to jego zamiłowanie do filozofji i wiara w swe uzdolnienie do niej nie są przypadkiem czystem złudzeniem? Nie rzadko się bowiem zdarza, że ludzie rozmiłowują się najbardziej w tem, co jest wręcz przeciwnem naturalnym ich zdolnościom. Słowem, chodzi tu o to, czy dr. Dzieduszycki, będąc poetą, dziejopisarzem, politykiem itd. jest przedewszystkiem filozofem, jakto on zdaje się o sobie mniemać, czy też nim zgoła nie jest?

Na to pytanie mogę odpowiedzieć w sposób najbardziej stanowczy: dr. Wojciech Dzieduszycki może być utalentowanym poetą, gienjalnym estetykiem, głębokim politykiem i nie wiem już czem. ale nie jest zgoła filozofem i nigdy nim nie będzie!

Ostatniem dziełem, które jest niejako zsumowaniem zapatrywań dr. Dzieduszyckiego na najważniejsze zagadnienia filozofji, dziełem nareszcie, które z tego względu nabiera szczególnego znaczenia, że jemu to właśnie zawdzięcza on swe stanowisko naukowe, jako profesor filozofji na wszechnicy lwowskiej, jest wydana niedawno książka pod nagłówkiem: »O wiedzy ludzkiej«. Na tem też dziele wyłącznie opieram się, odmawiając dr. Dzieduszyckiemu wszelkiego uzdolnienia do filozofji.

Dzieło to odznacza się przedewszystkiem taką nieumiejętnością wykładu, że czytelnik nie zawsze może wyrozumieć, o co chodzi autorowi, którego twierdzenia i wnioski są dla niego bardzo często niespodziankami, z których nie umie zdać sobie sprawy. Pod względem formy jest ono tak nieokreślone, że możnaby je wziąć również dobrze za proste wyznanie wiary, nie mające żadnej pretensji do pozyskiwania zwolenników dla siebie, jak i za dzieło popularne, obliczone na umysły, nie posiadające najelementarniejszych wiadomości z filozofji. Z tem wszystkiem tendencyjność dzieła, zbyt wyraźnie przemawiająca z każdego jego wiersza, świadczy wymownie, że autor w swych zamiarach sięgał znacznie wyżej po nad tak skromne cele, że miał on na widoku panujący w obecnej dobie kierunek myślenia i pragnął mu zadać cios ostateczny, wykazawszy jego bezpodstawność.

Na dowód słuszności powyższej oceny przytaczam następujące fakty:

a) Filozofja, podług autora, jest nauką o zjawiskach najwewnętrzniejszej naszej istoty, nauką o istotach i zjawiskach duchowych... różni się ona nie tylko od psychologji, socjologji, ale nawet od metafizyki... Więc czemże właściwie jest filozofja? Odpowiedzi na to nie znajdujemy. Jeżeli autor w samej definicji swego przedmiotu jest tak niejasnym, to czegoż można spodziewać się od niego, gdy przystąpi do szczegółowego jego wykładu?

b) Doszedłszy do wniosku, że rozumowanie, oparte na doświadczeniu, pozostawia nas w wielkiej niepewności co do wszystkiego i że szukanie ratunku dla siebie w pojęciach a priori na nic się nie zda, gdyż takich pojęć wcale nie

ma, powiada: »Tak. Ale człowiek nadał nazwy zjawiskom i wie o tem na mocy doświadczenia«... To tak zdawałoby się zapowiadać, że położenie rozumu nie jest jeszcze bez wyjścia, że wśród toni zwątpienia znajdzie on w wyrazach chociażby brzytwę, której będzie mógł się chwycić. Płonna nadzieja. Po rozwlekłej gadaninie, ciągnącej się przez pięć stronic, dowiadujemy się, że »daremnem jest usiłowanie oparcia naszego wnioskowania na jakiejś podstawie, pewniejszej od doświadczenia«, które jednakże nic pewnego nam nie daje.

Charakter dzieła filozoficznego zależy nie tyle od zagadnień, któremi się zaprząta, ile od metody, za pomocą której swe zagadnienia rozwiązuje i wyjaśnia. Otóż, jedyną metodą filozoficzną jest rozumowanie. Polega ona na ścisłem uzasadnieniu każdego twierdzenia. Czytelnik powinien wiedzieć, jakiemi drogami autor do niego dochodzi i jakie są dowody jego prawdziwości. Metoda ta jest obcą dziełu dr. Dzieduszyckiego, a przynajmniej natrafiające się tu i ówdzie jej próbki są tak nieudolne, że nie można ich brać w rachubę. Wypowiada on swe zapatrywania dogmatycznie, opisując je i wyjaśniając na przykładach; przy czem bywa tak pedantycznie drobiazgowym, że możnaby go posądzać o chęć zastosowania do przedmiotów filozoficznych metody froeblowskiej. Nie chce on pozostawić nic domysłowi czytelnika, zwalniając go tem samem od pracy myślenia i zastanawiania się, chociaż właśnie główna zaleta dzieła filozoficznego polega na tem, że rozbudza myślenie i doprowadza do krytycznego sądu o rzeczach.

Treść dzieła dr. Dzieduszyckiego odpowiada najzupełniej formalnej jego stronie. Nie jest ona wynikiem samodzielnego myślenia, owocem pracy rozumu, zdającego sobie dokładnie sprawę z tego, co wygłasza, co przyjmuje za prawdę, ale robotą pamięci, która powziętej z góry tendencji dostarcza usłużnie potrzebnego materjału Materjałem tym są zachowane, chociaż nie zawsze wiernie i dokładnie, przypomnienia tego, co się w tym przedmiocie kiedyś przeczytało lub posłyszało.

Dzieło autora składa się z dwóch części. W pierwszej wyjaśnia on, jakie są główne czynności umysłowe, za pomocą których dochodzimy do poznania rzeczy; w drugiej zaś podaje w zarysie ostateczne wyniki naszego poznania, ogólną treść naszej wiedzy. Przeciwko układowi dzieła nie da się nic powiedzieć, odpowiada on dokładnie zamiarowi autora. Ale za to, jakie jego wykończenie!... Zamiast w pierwszej części dać czytelnikowi teorję poznania, która, opierając się na psychologji i logice, ocenia krytycznie podstawy naszej wiedzy i wykazuje, jakie są warunki naszego poznania i co w tych warunkach poznanem być może, obdarza go luźnemi wiadomostkami z psychologji i logiki, wiadomostkami, które albo zgoła niczego nie uczą, albo dają najprzewrotniejsze pojęcie o rzeczy. Głównem zadaniem tych wiadomostek jest przekonanie czytelnika, że rozum ludzki, oparty na doświadczeniu, nie doprowadza nas do poznania prawdy, że wszystkie jego wywody kończą się na prawdopodobieństwie i po za nie wyjść nie mogą. A ponieważ rozum tylko na doświadczeniu może się oprzeć, po za doświadczeniem zaś niemasz dla niego punktu oparcia, przeto na nic się on nie przyda tam, gdzie chodzi o poznanie prawdy. Dowodem, mającym stwierdzić niezaprzeczalnie powyższe mniemanie, jest uwaga następująca: uogólnienie indukcyjne uczy nas tylko o tem, co się działo i dzieje i to tylko w tem przypuszczeniu, że nic przeciwnego temu nie działo się i nie dzieje, ale nie uczy nas wcale o tem, co się dziać może w przyszłości; wnioski nasze o tem, co się dziać może, opierają się z jednej strony na analogji, która jest zawodna, z drugiej na przypuszczeniu, że prawa przyrody są stałe — przypuszczeniu, które nietylko, że nie jest sprawdzone, ale przeciwko któremu świadczą najwymowniej cuda i zjawiska spirytystyczne. Słowem przyszłość może ukrywać w swem łonie wszelkie możliwości. Człowiek, który obecnie jest istotą śmiertelną, może stać się nieśmiertelnym, jeżeli wynajdzie jakiś eliksir, zapewniający mu życie wieczne. Doprowadziwszy czytelnika do tak rozpaczliwej konkluzji, stara się go pocieszyć, ukazując mu w oddaleniu jedynie pewne źródło poznania — intuicję. Czem jest intuicja, na razie nic nam o niej nie mówi, odkładając to do drugiej części swej pracy, w której ma ją nam dać poznać dokładnie.

Zanim przejdziemy do tej części, stanowiącej główną treść dzieła dr. Dzieduszyckiego, zastanówmy się pokrótce nad naukową wartością ważniejszych jego twierdzeń i zapatrywań.

W ustępie, poświęconym rozbiorowi pojęć, utrzymuje on, że powstają w umyśle ludzkim najprzód pojęcia ogólne — gatunki i rodzaje — a dopiero później na ich tle pojęcia szczególne, czyli wyobrażenia; że takie pojęcia, jak np. noga, liść, koło itp. są abstrakcjami, gdyż bywają pojmowane w oderwaniu od całości, do których należą. Podług niego człowiek poznaje nietylko zjawiska świata zewnętrznego za pośrednictwem wyobrażeń, ale także i własne uczucia, popędy itd., kojarzenie nie jest samem tylko prawem umysłowem, mocą którego łączą się w pewne całości i szeregi nasze wyobrażenia, uczucia itd., ale również prawem świata zewnętrznego. Zjawisko fizyczne, takie np., jak palenie się drzewa, jest skojarzeniem oddzielnych zjawisk — gorąca, światła, dymu, węgla, popiołu, trzeszczenia itd., które kiedyś objawiały się oddzielnie, a dopiero wskutek doświadczenia, mocą nabytego nałogu połączyły się z sobą i stanowią obecnie całość nierozerwaną.

Tych kilka przykładów wystarczy dla wyrobienia w czytelniku przekonania o uczoności i samodzielności autora.

(Dok. nast.) *Władysław.. Kozłowski.*

PIEŚNIARZ.

Obrazek z dziejów młodej Grecji.

Przez

Michała Wołowskiego.

(Ciąg dalszy).

Gdy pierwszy krzyk zabijanego usłyszał, pobiegł w góry do swoich dobrych znajomych, których często odwiedzał; myślał, że ich na czas sprowadzi, że domek i rodzinę ocali.

Spóźnili się i przyszli wtedy, gdy już czego bronić nie było.

— Chodź — szepnęło dziewczę — w góry, do nas, tu już niema co robić.

Kostaki odparł spokojnie:

— Chodźmy.

I poszli przez wieś, gdzie ich czekał widok straszniejszy jeszcze od tego, na jaki patrzeli przedtem.

Z Pargi nie zostało się nic, prócz jednego domku w środku, wspanialszego od spalonych, a którego ogień się nie chwycił.

Domek ten wyglądał tak, jakby ręce Alego i jego siepaczy oszczędzały go; całe terytorjum bowiem jego było nietknięte; przywabione blaskiem pożaru, bydło powychodziło ze stajen i obór, i w ogrodzonym dziedzińcu błąkało się, obrzucone światłem.

Przed tym domkiem zatrzymali się Kostaki i Roksanda, jakby jedną powodowani myślą, choć w tej chwili myśli ich stały na dwóch przeciwległych biegunach.

— Podłe, fanarjockie gniazdo! — syknęła z wściekłością Roksanda.

Kostaki zwrócił się pytającym wzrokiem ku swej towarzyszce i odparł:

— Czemu podłe?

— Jakto, alboż nie widzisz? Ali rznął i zabijał wszystkich, siepacze jego nikomu nie przebaczyli, a oni spokojni jednak. Modlą się pewnie; o tak, oni się modlić tylko umieją, tylko patrzeć w niebo i oszukiwać ludzi i Boga samego nawet. Jutro, jeżeli Ali tego zażąda, będą wraz z nim pruć nasze wnętrzności jataganem. Oni mają ojczyznę w niebie tylko; dla nich kraj, Grecja, nie istnieje; służyć zawsze będą jej wrogom.

— Daj pokój, Roksando — odparł znów spokojnie Kostaki. — Takich ludzi między nami niema. Nie mają tej gorącej krwi, co Grygory i my z gór wszyscy, ale i oni kochają Grecję.

— Kochają po swojemu!

— Może lepiej, niż my — odparł młodzieniec. — Czy znasz Eminę?

Dziki ogień zaigrał w oczach Roksandy.

— Czy ją znam? — zawołała takim głosem, jakby jej przez gardło przejść nie chciał — Alboż nie widziałam was nieraz bawiących się na tem podwórku.

— Pójdę się z nią pożegnać, bo pewno tutaj już nie wrócę.

Oczy Roksandy znów zabłysły tym samym ogniem; zastąpiła drogę Kostakiemu i zawołała z mocą:

— Nie chodź!

— Roksando! co tobie, czemu mi tam iść nie pozwalasz?... Emina taka dobra była zawsze dla mnie, czemu jej nie mam powiedzieć słów braterskich na pożegnanie; ja wiem, że się już nigdy z nią nie zobaczę.

Roksanda zawahała się przez chwilę i ustąpiła z drogi Kostakiemu, a jednak płomień z jej oczu nie znikał.

Kostaki wziął do ręki młotek u drzwi wiszący i trzykrotnie nim zapukał; długo czekał jednak, zanim ktoś przybliżył się z wnętrza i drzwi uchylił niechętnie, jakoby do środka nikogo zamiaru puścić nie miał.

— To ja, to ja — powtórzył Kostaki, gdy ktoś przez wązką szparę drzwi otwartych zdawał się go obserwować.

— To co? — ozwało się z wnętrza.

— Idę w świat daleki, chcę się pożegnać z wami, z Eminą: puśćcie mnie.

Otwierający drzwi odparł:

— Nie potrzeba.

Ale w sekundę za drzwiami ozwał się znów głos inny; chwilka małej sprzeczki i drzwi się otworzyły, a Kostaki wszedł do ocalonego domku.

Roksanda tymczasem usiadła na progu, na kolanach oparła łokcie, paznogcie do ust przyłożyła i ogryzać je zaczęła gwałtownie, oczy śląc w stronę Peljonu, ale go pewno nie widziała, bo mruczała bezustannie:

— Idź, idź, naciesz się, zobaczysz, czem oni są, gdzie idą, co robią, zobaczysz niedługo tych łotrów, asystujących przy twoim palu.

Gdy oprzytomniała, palce od ust odjęła, oczy ku drzwiom zwróciła i łzy jej w oczach stanęły.

— Ty na palu! sokole mój, słonko moje! chybaby Boga na ziemi nie było. Nie, nie! Stara Smaranda kłamie. Ty, co takie pieśni cudowne składasz, co tak o Grecji mówisz! Kłamie, łże Smaranda, cyganicha podła! Z tego nic nie będzie... A jeżeli będzie? — Tu Roksanda przybrała znów dawną postać. No to i ja z tobą zginę!

I oparła znów głowę o ramę drzwi i puściła wodze myślom smutnym i łzom ciężkim.

Kostaki tymczasem wszedł do izby, która wyglądała niby cerkiew obwieszona obrazami. Wprowadziła go do niej dziewczyna ładna, o jasnych włosach, niebieskiem oku i kształtach cudownych, mogących harmonją swoją przypomnieć Milońską Wenus.

— Kostaki! ty żyjesz? Och, jakaż radość napełnia biedne moje serce! Ja cię już opłaka-

łam, już mi się świat taki smutny wydał, jak grób, gdy mi Atanam powiedział, że Ali dom wasz spalić kazał i matkę zamordował. O, straszny jest ten Ali, tak straszny, że gdy o nim pomyślę, od zmysłów odchodzę, miesza mi się wtedy w głowie i modlę się.

— Modlisz się! — powtórzył Kostaki. — A gdzież twój ojciec, Emino?

— W Janinie.

— Tak mi mówiono; on liże stopy muzułmańskich katów naszych.

— Kostaki! nie mów tak do mnie!

— Emino, ja nie umiem mówić inaczej, niż myślę; tyś mi siostrą mleczną, tyle lat spędziłem z tobą, ach, czemuż twój ojciec tam u nich!

— Ratuje Grecję — powiedziała.

— Ratuje Grecję? Ach, oni wszyscy ratują Grecję, topiąc ją coraz więcej w morzu krwi: czemuż, gdy tak blizko są tego szatana, nie poślą go do Boga, aby mu za krew naszą zapłacił? czy nie ma sztyleta w ręku, czy nie ma jatagana przy boku? Ma! Tak, oni mają to wszystko, ale serca dla Grecji nie mają: stracili wszystko, co greckiego mieli w sobie. Ojciec twój, Emino, fanarjotą jest, pokłony w cerkwi bije, ot i wszystko, co go z Grecją wiąże.

Kostaki w tej chwili wyglądał tak, jak wtedy, gdy mierzył w piersi Alego.

Emina przelękła się go, odsunęła się o parę kroków i, złożywszy ręce, szepnęła:

— Kostaki! cóż ja temu winna? ja tak kocham Grecję, jak i ty, bracie.

— To też nie tobie przyszedłem mówić to wszystko. Myślałem, że gdy tam mordowano naszych, on był tutaj, on ich bronił, ratował. Nie! dla niego wygodniejszemi są dywany przedpokojów Alego, jego cybuchy i nargile. Chce udawać rozumnego, ale u nas rozumu niema. Powiedz mu tedy, Emino, że po ten rozum do obcych jadę ja, Kostaki Rigas; że strasznym będzie dzień, w którym z nim tutaj powrócę; strasznym dla tych, co nas mordowali, jak i dla tych, którzy patrzyli na to spokojnie. Gdym wyrósł, gdym nauczył się czytać i gdy mnie Grygory uczył dziejów tej ziemi, słyszałem o człowieku, którego świat Tyrteuszem nazywał. Tu, na tej ziemi, gdy Sparta walczyła z Messyną, był on wodzem; a wojował nie mieczem, ale pieśnią. W duszy mej zrodziło się wtedy coś tak potężnego, iż i ja zacząłem śpewać Kleftom i Armatolom. Och, niejedną pieśń moją opłaciły setki łbów tureckich zrozumieli mnie Klefty, zrozumieli Armatole, ale serca kamienne fanarjotów milczały. Taki młokos, jak ja, budził ich politowanie tylko swojem szaleństwem. Ale ja szalony nie jestem; chcę śpiewać Kleftom i chcę obudzić fanarjotów, albo ich zdusić, zgnieść, zmiażdżyć. Chciałem to wszystko, Emino, powiedzieć twemu ojcu, nie znalazłem go: powtórz mu to ty, siostro moja.

I znikł w tejże chwili surowy wyraz z twarzy młodziana.

— Emino, ja tutaj prędko nie wrócę, może nigdy, ale pamiętaj, że jadę po rozum dla Grecji. Bądź zdrowa!

Emina pobiegła ku rozwartym ramionom młodzieńca, rzuciła się prawie z krzykiem i zawołała:

— Kostaki, ja ciebie nad życie kocham! A ty, sokole mój?

Kostaki milczał przez chwilę, spojrzał na spoczywającą w jego objęciach Eminę i odparł surowo a spokojnie:

— Ja kocham Grecję.

— A mnie czy kochasz? — spytała raz jeszcze natarczyie Emina.

— Już powiedziałem. Bądź zdrowa!

I pocałował ją w czoło, ale nie tak, jak całuje kochanek; a nic w tym pocałunku z ziemi nie było.

Ona schwyciła jego rękę, do ust poniosła i widocznie zrozumiała, że ten człowiek o miłości ziemskiej nic mówić nie może, bo nie pytała o nic więcej.

— Bądź zdrowa — szepnął jeszcze raz Kostaki, zwracając się ku wyjściu.

— Bądź zdrów! — powtórzyła smutnie Emina, rzucając się na kolana przed obrazem, który w rogu izby wisiał z zapaloną lampką.

Kostaki odwrócił się raz jeszcze, ale na ten widok skrzywił się i, szepnąwszy: »Zawsze toż samo«, wybiegł przed domek, gdzie czekała na niego Roksanda.

— Kostaki! — zawołała, zrywając się gwałtownie od progu. — Ja tu przesiedziałam wieki, ja tu płakałam, ja palce gryzłam aż do krwi!

— Czemu to wszystko, jedyna?

— Ty się pytasz? Bo cię kocham, bo wiem, że i ona ciebie kocha, a ja się tobą z nikim dzielić nie chcę. Czy rozumiesz? Roksanda nic chce!

— Roksando!

— Nie tłómacz mi; ty mnie znasz, pójdę z tobą, jak pies, wszędzie, ale nie chcę, żeby mi kto ciebie zabrał, umrzesz, umrę; niech mnie z tobą razem wbiją na pal, niech poćwiartują, ale nie z inną w sercu.

Kostaki uśmiechnął się łagodnie i spojrzał w czarne, niby węgle, oczy Roksandy, i powtórzył jej też same słowa, które przed chwilą słyszała Emina:

— Ja kocham Grecję.

Ale Roksanda, usłyszawszy to, rąk nie załamała, z przestrachem nie cofnęła się od niego, ale chwyciła go za ramię i zawołała gwałtownie:

— A więc kochasz i mnie, bom ja jej córka, ona najulubieńszą matką moją!

— Ja nie chcę od ciebie innej miłości, pogardziłbym inną.

— Kostaki, tyś mój, jedyny, najdroższy sokół, słonko moje jasne. Ja chcę od ciebie słyszeć zawsze takie słowa, one mi na całe wystarczą życie; ale chcę przytem widzieć ciebie.

— A jednak niedługo już mnie widzieć będziesz; Grecji braknie głowy, choć serca ma dużo, pójdę daleko za nauką, aby ten rozum zdobyć.

— Kostaki! — zawołała gwałtownie Roksanda — zostań, zostań tutaj: wierz mi, rozum sam przyjdzie; zostań ze swą pieśnią i ucz ich serca tylko.

C. d.n

Listy naukowe.

(Dokończenie).

Zdawałoby się, że w klasie, której środkiem utrzymania się jest tylko osobista praca, powinna panować większa jedność. Ale i tu krzyżujące się interesy sprowadzają sprzeczne pragnienia. Wysokie zarobki robotników rolnych podnoszą cenę żywności, a skutkiem tego ludność robotnicza w zawodach przemysłowych musi zniżyć skalę swego życia. Przeciwieństwo robotników fachowych i niefachowych czyniło przez długi czas związki robotnicze w Anglji dla ostatnich niedostępnemi.

Tymczasem i pomiędzy klasami, przeciwnym interesem kierowanemi, może się okazać zgodność w pewnych okolicznościach. Takim był przytoczony przez Marxa wypadek. Lavollée przytacza drugi. W 1872 r. fabryka maszyn Eschera, Wyssa i Comp. zawarła umowę z Towarzystwem wytwórczem mechaników zurychskich i oddawała im część pracy, chociaż przeciwieństwo interesów klasy robotniczej i kapitalistycznej, tak dla jednej, jak i dla drugiej, nie było czemś nieznanem. Nawet podniesienie płacy zarobkowej i skrócenie dnia roboczego nie jest bezwzględnie przeciwnem interesowi kapitalistów. Industrja angielska zwy ciężko spółzawodniczy z francuską i niemiecką, chociaż robotnicy angielscy wyższą od francuskich i niemieckich płacę zarobkową pobierają. Doświadczenie w Szwajcarji pokazało, że skrócenie dnia roboczego nie zmniejszyło wydajności pracy, lecz przeciwnie, powiększyło ją. Przekonano się, że robotnik, pracując umiarkowaną liczbę godzin, wszystko robi szybciej, dokładniej i lepiej, ma bowiem wzrok bystrzejszy, umysł świeższy, i rękę pewniejszą.

Podnosząc wysoko sztandar interesów klasowych, wydaje się tak, jakbyśmy nie przypuszczali wspólnego interesu, przed którym milknie, albo milknąć powinna walka klasowa. A jednak wątpliwa rzecz, ażeby ktokolwiek rozsądny w ten sposób ją pojmował. Ani Marx, ani Engiels, nigdy jej tak nie rozumieli. Marx, mówiąc o rozwoju ustaw fabrycznych w Anglji, zaznacza, że zyskały one silne poparcie w opinji powszechnej, albowiem zrozumiała ona potrzebę onych w interesie zdrowia i moralności całego ogółu. »Prawodawstwo fabryczne — zdaniem jego — to pierwsze świadome i metodyczne oddziaływanie społeczeństwa na swój, samoistnie i naturalnie wyrosły, proces produkcji«. Walka bezcelowa między klasami grozi istnieniu całego społeczeństwa. Engels nazywa ją jałową. (»Początki cywilizacji«, przekład polski, 116). Usunięcie pauperyzmu, nędzy, to nie jest tylko interes klasowy; jest to interes ogólny. Teodor Stamm, ze stanowiska lekarskiego, wykazał w przekonywający sposób, że istnienie nędzy przedstawia i dla klas zamożnych wielkie niebezpieczeństwo, albowiem wytwarza ogniska chorób zaraźliwych, z których wychodzą szerzące się po całym kraju epidemje zabójcze. Marx również w swoim »Kapitale« żywemi barwy nakreślił, jak wędrowny lud robotniczy, niszczony w swych sokach żywotnych przez nędzę, roznosi po całej Anglji ospę, tyfus, szkarlatynę, cholerę i t. d., nie mówiąc o syfilisie, którego jad zwyradnia pokolenia burżuazyjne.

Walka klasowa właściwie jest tylko środkiem do osiągnięcia pewnego celu. Takim celem dla klasy, znajdującej się pod panowaniem, lub przewagą innej klasy, jest obalenie tego panowania, lub tej przewagi. Przewaga ta objawia się w tem, że klasa pewna albo zaprowadza zgodny z jej interesami porządek polityczno-społeczny, albo strzeże, by ten w całości i sile był zachowywany, albo przynajmniej skutecznie odpiera wszelkie usiłowania innej klasy, dążącej do zmiany istniejącego porządku. Pierwszym więc warunkiem przewagi pewnej klasy jest jej stanowisko polityczne, trzymanie przez nią w swem ręku władzy prawodawczej. Jeżeli ta władza, z jakichkolwiekbądź powodów, wyśliznęła się z jej rąk, to walka z nią staje się bezcelową, czyli — jak Engels powiada — jałową. A jeżeli jest jeszcze tertius gaudens, to należy się dobrze zastanowić, czyjemu ona ostatecznie interesowi służyć będzie.

Niezawodnie, im bliższy jest interes, tem jest widoczniejszy i zrozumialszy dla interesowanego. I dlatego, odwołując się do interesów prywatnych i klasowych, łatwiej pozyskiwać ludzi, a nawet i tłumy. Przeciwnie, im ogólniejszy interes, tem więcej trzeba mieć umysł rozwinięty dla zrozumienia onego. W krajach, gdzie oświata powszechna znajduje się na nizkim poziomie, bardzo jest trudno przekonywać o wspólności interesów, a najłatwiej tam, gdzie oświata jest znacznie rozszerzona. Zdawałoby się np., że cóż łatwiejszego do zrozumienia, jak to, że pomoc wzajemna jest bardzo korzystną. A jednak ci, co zajmowali się propagandą z tem zadaniem połączonych stowa-

rzyszeń, wiedzą o tem dobrze, że tylko w warstwach, pod względem rozwoju umysłowego stojących wyżej, znajdowali posłuch. Kiedy zakładano w Królestwie rozmaite stowarzyszenia ekonomiczne, to względnie najliczniej pogarnęła się do nich inteligencja. Wielce tu są pouczającemi cyfry, zebrane przez statystykę 1865 r. w sprawie stowarzyszeń, mających na celu pomoc wzajemną. Okazało się, że do takiego stowarzyszenia należał jeden w Anglji z liczby trzech mieszkańców, w Szwajcarji z 25-ciu, we Francji z 28-miu, w Belgji z 104-ch, we Włoszech z 195 ciu. Szwajcarja, biorąc ją w całości, stała pod względem rozwoju tych stowarzyszeń znacznie niżej od Anglji; inaczej jednak rzecz się przedstawiała, skoro brano w uwagę pojedyńcze kantony. W Genewie jeden stowarzyszony przypadał na 2·9 mieszkańców, w St. Gallen istniał stosunek ten sam, co w Anglji, a najmniej gęstą była liczba stowarzyszonych w kantonach: tessyńskim, Valais i t. d., to jest właśnie w tych, w których oświata ludu względnie najniżej stała.

Walka klasowa wypisywana na sztandarze, sprawia takie wrażenie, jakby nawoływała do podziału, kiedy tymczasem najwyższym, najogólniejszym interesem jest łączenie się, stowarzyszanie się. I z tego względu doktryna saint-simonistyczna wyraźniej cel ukazywała. »Jeżeli z wyższego stanowiska — powiadała ona — myślą obejmiemy naraz przeszłość i przyszłość ludzkości, to spostrzeżemy w całym ciągu rozwoju społecznego dwa różne stany ogólne; jeden czasowy, należący do przeszłości; drugi ostateczny, przeznaczony dla przyszłości: stan antagonizmu i stan asocjacji«. Wierzyła ona więcej w potęgę kojarzącej miłości, aniżeli w burzącą siłę nienawiści. Wierzyła, że »w przyszłości wszyscy ludzie będą stowarzyszeni, i jedynym łącznikiem stowarzyszenia będzie miłość«.

B. L.

Przy poświęceniu domu szkolnego

(przekład z Ibsena).

Nagie już pola, pożółkła miedza
I w lasach poblakły liście:
Czas nam więc ogród, gdzie wzrośnie wiedza,
Poświęcić dziś uroczyście.
Na mocnej, skalnej stanął podstawie,
Murami sięga wysoko.
Boże, błogosław nam w dobrej sprawie,
Niech czuwa nad nią twe oko!
Górale! — w każdej widzimy wiośnie,
Jak się zielenią urwiska,
Jak mocna sosna na skałach rośnie,
Szczytem ku niebu wytryska,
I jak na twardej glebie kamiennej
Niwa się kłosem pokrywa: —
Tak w umysł ciemny nauki cennej
Ziarno niech z murów tych spływa.
Potrzeba jednak ciepła powiewu,
Słońca, powietrza nie mało,
Aby to ziarno ducha posiewu
Plon bujny z czasem wydało.
Dajcie więc dostęp powiewom wolnym,
Światło niech w mury przeniknie:
Tylko w wolności duch wzróść jest zdolnym
I tylko w świetle mrok zniknie.
Niech się więc święci ta ducha gleba.
Ten ogród, gdzie myśl wyrasta!
Zasiane ziarno nauki-chleba
Dziki niech chwast nie porasta.
Od życia jednak i od natury
Któż dzieli wiedzy skarbnicę?
Ochronę tylko niech dają mury,
Ale nie ciasną granicę!

J. Czar.

Najnowsze kierunki badań mitologicznych.

(Ciąg dalszy).

J. Karłowicz w swem studjum pt. »Piękna Meluzyna i królewna Wanda«, uważa Krakusa za postać mityczną, a zabicie smoka za ułamek powszechnego mitu o tryumfie bóstwa gromowego, smokiem niebieskim, czyli burzonośną chmurą grożącą, że pochłonie słońce i napełni świat ciemnościami. K. Schultz w swej Mitologji słowiańskiej (Poznań 1880), stara się wykazać, że postacie Kraka, Smoka i Wandy, oznaczają trzy wyobrażenia mitologiczne, rodzaj trójbóstwa, opartego na wzajemnym do siebie stosunku trzech ciał niebieskich: Słońca, Księżyca i Ziemi. Zabójstwo zaś smoka wyobraża zwycięstwo światła nad ciemnością, lata nad zimą, pierwiastku dobrego nad złym, — bóstwa słońca nad księżycem. Lecz ponieważ bóstwa te i wedle wyobrażeń słowiańskich były braćmi, więc Krakus, zabijając smoka, popełnił bratobójstwo, wskutek czego na czas jesieni i zimy poszedł na wygnanie, a rządy objęła bogini ziemi i wody, Wanda.

W ostatnich czasach, kiedy z powodu referatu Chmielowskiego pt.: »Jak należy traktować utwory poezji ludowej«, wywiązała się na zjeździe im. Kochanowskiego dyskusja, okazała się znowu wielka różnica zapatrywań co do starożytności kreacji ludowych. (Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Kraków 1886),

Chmielowski utrzymywał, że ze względu na treść niektóre utwory ludowe mogłyby być podane ogólnikowo, bez bliższego oznaczenia czasu, jako owoc twórczości duchowej narodu przed przyjęciem chrześcijaństwa — ze względu jednak na formę bezwarunkowo ani jeden utwor ludowy nie może być uważany za zabytek doby przedchrześcijańskiej. W odpowiedzi p. Chmielowskiemu, twierdził Hanusz, że w tradycji ludowej (zwłaszcza w zamawianiach czarów i guseł przy lekach chorób, tudzież w zagadkach i podaniach, tyczących się zjawisk niebieskich) zachowały się tak pod względem treści, jak i formy pewne motywy, pewne zwroty i zdania, które pochodzą z doby wspólności naszej przedchrześcijańskiej, a nawet z czasów indoeuropejskich, należy tylko w badaniu ludowych kreacji odróżnić to, co jest wspólnego, indoeuropejskiego od tego, co jest słowiańskiego, a co polskiego; to, co jest pierwotne i wszystkim podaniom wspólne, od tego, co powstało na jednem miejscu i stąd przez kulturę i stosunki na inne ludy się rozszerzyło. Pośrednie stanowisko zajął Kolberg utrzymując, że pieśni ludowe, jakkolwiek są bardzo ważnym zabytkiem starożytnym, uległy już znacznym zmianom (o czem w przeciągu kilkudziesięciu lat przekonał się naocznie), gdy tymczasem zabobony, gusła niezmienione zachowały się, jak jądro stare, sięgające zamierzchłej przeszłości aż do indoeuropejskich czasów.

Po stronie starożytników stanął Bełcikowski, twierdząc, że bezwarunkowo zaliczyć należy do epoki przedchrześcijańskiej powstanie podań mitycznych o Lechu, Wandzie, Krakusie itp. Jakkolwiek pod powłoką baśni kryje się nie jeden fakt historyczny, nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z embrjonami niedoszłych, niewykrystalizowanych jeszcze rapsodów starożytnej epopei.

Jak podanie o Krakusie i Wandzie, przywiązane do miejsca, do mogiły pod Krakowem i do jamy smoczej pod Wawelem, tak podanie o Popielu, złączone organicznie z wieżą na Gople pod Kruszwicą, doczekały się tłómaczeń z rozmaitych punktów widzenia. Wcześnie wyrobiło się przekonanie, że nie mamy tu przed sobą rzeczywistych wypadków, ale przedmiot wyobraźni, a przyczynił się do tego głównie sam motyw fantastyczny, przedstawiający myszy, wylęgłe z ciał zamordowanych stryjów, jako mścicieli zbrodni. Historycy niemieccy zwrócili oddawna naszą uwagę na zupełnie podobne podanie niemieckie o arcybiskupie mogunckim Hatto, zjedzonym przez myszy, przywiązane także do wieży pod Bingen nad Renem (Dr. Kühnast. Die Sage von Popiel in den Mäusen 1836). Znany uczony czeski Grohman zwolennik szkoły meteorycznej wyprowadza podanie to — z chmur. W dziele: (Apollo Sminteus und die Bedeutung der Mäuse in der Mythologie der Indogermanen. Prag 1862), przedstawia szeroko rozgałęziony kult myszy, które w religji aryjskiej oznaczają pierwotnie błyskawice i burze, a następnie duchy. Przedstawiano sobie, że myszy powstają w czasie burzy z obłoków, podobnie jak się rodzi niebieska iskra duszy chmur. Z wiarą tą zostaje wyobrażenie duszy ludzkiej w postaci myszy. Dla tego też kiedy dziecię z otwartemi śpi ustami, zamykają je zabobonni, ażeby dusza w postaci białej myszki nie uszła. Dusza ludzka, mieszkająca jako mysz w ciele ludzkiem, wraca po śmierci człowieka znów do szeregu owych duchów, z których wyszła.

W podaniu o Popielu powstają myszy z ciał zamordowanych i w wodę rzuconych stryjów. W podaniu o Hattonie i pokrewnych mu wychodzą myszy z ognia, w którem właśnie nieszczęśliwe ofiary podłego biskupa życie swe postradały. Ponieważ zaś dusze według wyobrażeń pierwotnych opuszczają ciało po śmierci człowieka w postaci myszy, przeto nic naturalniejszego jak myśl, że owe, z ciał i ognia wydobywające się myszy, były duszami pomordowanych, które się mściły na zabójcach. Myśli tej jednak, pokrewnej w wynikach ze szkołą demonologiczną Tylora i Spencera nie rozwija dalej Grohmann, lecz cofa się napowrót do owych zjawisk niebieskich, które mu wszystko na ziemi wytłómaczyć mają. Wychodząc z nazwy Popiela, mającej oznaczać popiół i pochodzić od wyrazu palić, przedstawia Popiela, jako biesa upału i suszy, zamieniającej ziemię na popiół.

Zdaniem K. Szulca wyobraża Popiel potwora podobnie, jak smok krakowski. Jak tamten pożerał zwierzęta i ludzi, tak ten mordował swoich stryjów; jak tamtego za to pozbawiono życia za pomocą barana, palącą siarką nadzianego, tak tego za pomocą myszy oznaczających, grom siarczysty. W dalszym rozwoju wyrasta Popiel na bóstwo zimy i księżyca, stryjowie zaś jego oznaczają 3 × 7 zmian księżyca w czasie zimy czyli 21 tygodni zimowych, które on, sprzątnąwszy jako swych stryjów, sam został pozbawiony życia przez owe bóstwo słońca, któremu były poświęcone myszy, przedstawiające gromy.

D. n. *Henryk Biegeleisen.*

PRO MEMORIA.

23. września 1793. Miała miejsce tak zwana n i e m a sesja sejmu grodzieńskiego, na której — pomimo powstrzymania się posłów od mówienia i głosowania — przeprowadzono ratyfikację zaboru pruskiego.

24. września 1831. Bitwa z Moskalami pod Pińczowen i Skalbmierzem.

26. września 1845. Sejm stanowy we Lwowie uchwalił przedstawić cesarzowi potrzebę przyznania włościanom na własność gruntów posiadanych.

29. września 1764. Dąbrowski i Madaliński pobili Prusaków pod Łabiszynem.

29. września 1812. Józef Poniatowski stoczył pod Czerykowem zwycięską bitwę.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.